№ 2. Warszawa, dnia 31 Grudnia (12 Stycznia) 1880/1 r. Rok II.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.
POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,
w Warszawie: Mesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
ulica Niecała Nr 8.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

ELISZA.
(Fragment Dramatyczny)

przez
Marye Konopnicką.

(Dokończenie).

K r ó l J a n.
Dreed, Runner!

E l i s z a.
Ojcze! ach ojcze! patrz!... oni tu idą..
Człowieku, nie szarp mnie!... Litości, królu!
Ach, śpiesz się, ojcze! mów, mów prędzej, prędzej!..
Człowieku, puść mnie!... zaczekajcie chwilę!
On się namyśli... wszak ja jego dziecko!...
O! wy nie wiecie, on mnie bardzo kocha!...
On dla mnie chował te wszystkie bogactwa:
I zausznice—i drogie pierścienie,
I w każde święto stroił mnie, bym była
Piękną źrenicom jego!... ale teraz
Ja już nic nie chcę!... Ojcze, ja się boję
Tego żelaza!... ach zlituj się, przemów!...
Czekajcie, ludzie dobrzy, on wam powie...
Patrzcie! on płacze!...

S y m m a c h.
O! bodaj mi oczy
Z temi krwawemi łzami wypłynęły,
Nimby ujrzały kaźń mojego dziecka!...
(*milczenie*).

K r ó l J a n.
Oddajesz skarby?

S y m m a c h.
Co?... co?... skarby moje?
Ja miałbym oddać je? i nie obaczyć
Nigdy mojego złota ni klejnotów?
Ja miałbym oddać mój skarb!... moje wszystko!...
Moje bogactwa!... moje...

K r ó l J a n.
Brać tę dziewkę!

E l i s z a.
Precz, precz odemnie... Ach, ratuj mnie, ojcze!
To niepodobna!—mnie się to śni chyba...
Jakiś sen straszny!... Obudźcie mnie ludzie!...
Ja będę krzyczeć gwałtu.... ojcze!... ojcze!..
Zmiluj się, ojcze!...

K r ó l J a n.
Uciszyć ją!

E l i s z a.
Ludzie!
Nie szarpcie mnie tak!...
(*zbiry unoszą ją w głąb*).

S y m m a c h.
Dziecko!... moje dziecko!..
(*po chwilowej walce z sobą*):
Nie!... nie!... nie mogę!

R u n n e r.
Czy od przednich zacząć?

K r ó l J a n.
Ból byłby mniejszy—ale większa szkoda...
Rwijcie trzonowe... namyśli się może.
Zwolna, ostrożnie!... nie kruszyć tych cacek!
Chcę do jednego mieć te ząbki białe...
W złoto je każę oprawić, by moja
Czarna charcica miała z nich obrożę.

S y m m a c h.
Piekło!...

K r ó l J a n.
Rwij!...

E l i s z a.
Ojcze!... ojcze!... o mój Boże!...

D r e e d.
Jest pierwszy, królu!

S y m m a c h.
Krew!... co krwi!... ty zbójco!...
Ty ją mordujesz!... Czy z jednego zęba,
Z małego ząbka, tyle krwi być może?...
A, ty potworo!...

K r ó l J a n.
Milczeć! Rwij jej drugi!

S y m m a c h.
Przez Boga, stójcie! Królu, moje skarby...
Słuchaj...
(*z wysileniem*).
Jehowah! nie mogę!... nie mogę!...

K r ó l J a n.
Rwij, mówię! Cóżto, pieścić się będziemy
Z jedną tam jakąś żydowską dziewczyną?...
Dalej!

E l i s z a.
A!... a!... a!...

R u n n e r.
Oto drugi, panie!
Równe i białe jak z kości słoniowej!...

S y m m a c h.
Tygrysy!... wilki!...

K r ó l J a n.
Gdzie skarby?...

S y m m a c h. (*cofa się*).
Co?... skarby?...
Moje dyamenty?... moje złoto!...
(*ponuro*).
Nigdy!

E l i s z a.
Siły już tracę! zmiłuj się, o królu!
Dajcie mi spocząć!... Ojcze! czy ty nie chcesz
Jednem słóweczkiem obronić od kaźni,
Swojego dziecka?... swojej jedynaczki?...
Cóżem ja kiedy zawiniła tobie?
Czym ci nie była posłuszną i cichą?
Czym ciebie codzień nie błogosławiła
Za to, że żyję i oglądam słońce?
Czym ja się tobie naprzykrzyła w domu?...
Czyśmy nie byli szczęśliwi, spokojni?...
Czy mnie sam skarbem swym nie nazywałeś?...

A dzisiaj, nie chcesz za mnie dać okupu
Nędznego! garści kamieni i złota!
Na co nam skarby? Zmiłuj się! ja będę,
Jak niewolnica twoja pracowała...
Suchym się chlebem będę żywić!...

(*cisza*).

— Milczysz?

Król Jan.

A ty zawzięty, stary wilku!... Dalej,
Śpiesz się, Dreed! przecież nie mogę tu siedzieć
Aż do zachodu słońca!

Dreed.

Hola, panno!

Elisza.

Królu mój!... Ojcze!...
— Nie wiem kogo błagać,
Bo wszyscy tutaj są jako oprawcy,
I patrzą na mnie krwawo!... Boże!... Boże!..

(*zwraca się do Runnera*).

O, dobry panie! może ty masz dzieci...
Patrz, ręce twoje całe są czerwone
Od krwi mej! dzieci twoje się przelękną—
I będą w nocy budzić się—i krzyczeć...
Bo to jest straszna rzecz, ojca mieć katem!

Dreed.

Dosyć tych rozpraw!... dawaj cęgi!

Elisza.

A!... a!...

Symmach (*chwyta się za głowę*).

Niebieskie moce! — Nie krzycz tak, nieszczęsna!
Czy ty nie możesz dla siwego ojca,
Oddać krwi trochę?... Czy nie możesz?.. powiedz!

Jeden z dworzan.

Potwór—nie ojciec!

Król Jan.

I cóż?...

(*chwila milczenia, słychać jęk Eliszy*).

Symmach (*walcząc z sobą*).

Moje złoto!...
Nigdy!...

Elisza.

Nie, ojcze! nie, to być nie może....
Tyś chyba nie jest ojcem moim.

(*z krzykiem*):

Boże!...

Runner.

Po dwa z stron obu... jaka krew czerwona!
Jak chrześcijańska!...

Dreed.

Młoda krew!

Symmach.

Szatani!...
Królu! opłatę weź!... za każdy ząb jej,
Dam ci pięćdziesiąt... dam ci sto dukatów!

Król Jan.

Nic, albo wszystko! Gdzie skarby?.. mów, żydzie!

Symmach.

Ha!... duszy mojej sięgasz?... nie! nie! nigdy!

Król Jan.

Hej, tam! wesoło ludzie! róbcie swoje!...

Elisza.

Wody!... kropelkę wody!...

Jeden z dworzan.

Jaka blada!

Inny.

Co za przepyszne warkocze!... patrz jeno,
Przez ręce lecą jak czarna kaskada....

Elisza (*zrywa się z przerażeniem*).

Precz z tem żelazem!... precz!...

Symmach.

O!... moje dziecko!...
Puszczaj ją, kacie!...

Runner (*odpycha go*).

Na bok, wilku stary!

Król Jan.

Żywo tam, chłopcy! Hej! wina dwie czary!

Elisza (*rzuca się do nóg króla*).

Biada mi!...
—- Królu wielki i potężny!
Każ ty mnie zabić jasnym swoim mieczem...
Ja już żyć nie chcę!... niechaj się to skończy!...
Ojciec nie kocha mnie!... jestem sierotą!...
Jak kwiat zerwany na szalę rzucona,
Nie przeważyłam nawet garści złota!...
Co mi po życiu? ja jestem zazdrosna
O miłość ojca mego dla tych skarbów,
Co są piękniejsze niż ja, oczom jego....
....Tak go kochałam!... a byłam jedyna
U niego w domu!...

(*cisza, słychać łkanie*).

Runner.

Ręczę, że ta wiedźma
Śnić mi się będzie!

Elisza.

Weszłam tu dzieckiem wierzącem... a teraz,
Jestem, jak starcy nad grobem schyleni,
Co miarą, łzami nabraną, zmierzyli
Ludzkie miłości—i ludzkie nadzieje!...

Król Jan.

Weźcież mi od nóg tę płaczkę skrwawioną?

Dreed.

Hej! do roboty!

Elisza (*zwraca się do niego*).

Zabij mnie, o panie!...

Dreed.

Nie jestem katem... jestem chirurg Jego
Królewskiej Mości!...

Elisza.

Ach!... ach!...

Symmach.

A, tygrysie!
Ciało rwiesz z zębem!... opilcze ty ślepy!
Patrz!...

Król Jan.

Prędzej, prędzej!...

Symmach.

Nie rzucaj na ziemię!
Ja je wykupię wszystkie!

Elisza (*słabym głosem*).

Ach!... umieram!...

Jeden z dworzan.

Wody jej dajcie!... krwią spłynęła cała...

Król Jan.

Patrzaj, ty, żydzie! to jest twoja córka!

Symmach (*wznosi ręce w najwyższem uniesieniu*).

O! niech cię, srogi królu, gromy z nieba
Ukoronują wężami płomieni!
O! niech się berło twe zmieni w gadzinę,
I u twej ręki niech żądłem zawiśnie!...
O! niech purpura twa trądem okryje
Lędźwie—i piersi—i ramiona twoje!...
O! niech cię tron twój pożarem ogarnie!...
Ty... zaraźliwy królu!... ty... tyranie!...

(*chwila ciszy*).

Jeden z dworzan.

Język mu uciąć!...

(*groźne poruszenie w tłumie*).

Głosy.

Rozsiekać na sztuki!...
Rozsiekać żyda!...

Król Jan (*wznosząc rękę*).

Nie! nie! niech przeklina!
Ostatnie to są porywy rozpaczy.
Razem z tą pianą wściekłości, wypłynie
Z ust jego prawda.
...Ha!... widzisz, ty, żmijo,
Żem ci dosięgnął do żądła!... Przeklęty!
Ani jednego zęba!... oszust stary!...

(*zwraca się do oprawców*).

A cóż tam, Runner?

Runner.

Zemdlała dziewczyna.

Król Jan.

Rwij, to się zbudzi!

Dreed.

Daćby jej choć wody..

Król Jan.

Cóżto? jak widzę, ta nędzna turkawka
Łzami ci swemi serce rozmoczyła,
Jak starą szmatę! wstyd!

Dreed.

O! nie, mój królu.—
Trzymaj ją, Runner... tak... do światła...

Elisza.

A!... a!..

Symmach (*z powstrzymywaną wściekłością*).

Królu!... a!... królu!...

Król Jan.

Gdzie skarby?... mów żydzie!...

Symmach.

Co?... skarby moje?... co?... moje klejnoty?...
Nigdy... nie, nigdy!...

(*słychać od czasu do czasu coraz słabszy jęk Eliszy*).

O! kamienny królu!...
Co to za jęk był!... córka!... moja córka!...
Moja Elisza!... Mścicielu! bądź ze mną!...
Mamże cię oddać, złoto?... Nigdy! nigdy!...
Ukryte... wszystko ukryte głęboko....

Jeden z dworzan.

Przeklęty lichwiarz!

Elisza (*słabym głosem*).

O!... dajcie mi spocząć!..

Symmach (*wznosi ręce*).

Boże Jakóba!... Boże Abrahama!
Pozwól jej wytrwać chwilkę tylko!... chwilkę!...
Wieczne potęgi!... Jeszcze?... o Jehowah!...
I kiedyż wy się nasycicie krwawi?...
Oślepnę patrząc na to! w oczach moich
Czerwony płomień lata!... prędzej... prędzej!...

Dreed.

Panie, zostały tylko zęby przednie,
Małe i drobne, jak u myszki!

Elisza (*czyni znak ręką*).

Ojcze!...
Zbliż się, mój ojcze!.. Jak ciemno!... Gdzie jesteś?
Podaj mi dłoń swą! chcę ją ucałować...
Słabo mi! o!... o!...

Runner.

Gdzie są mniejsze cęgi?

Dreed.

Trzymaj!... zakładaj!...

Symmach.

Stój!.. daj jej odpocząć!

Król Jan.

Cóżto?... nie krzyczy?

R u n n e r.

Puść ją: już skonała!

S y m m a c h.

Co? co?... skonała?... Elisza!... Elisza!...
Dziecko mi moje oddajcie!... Elisza!..
(*wstrząsa nią*).

K r ó l J a n.

Wziąść tego trupa!...

S y m m a c h.

Trupa?... o bodajżeś
Oniemiał wtedy, gdy zechcesz przyzywać
Boga w godzinę śmierci, za to słowo,
Królu!
(*wstrząsa nią z siłą*).
Elisza!... jaka zimna!... jaka!...
Blada!... Elisza!... dziecko moje!... spojrzyj!...
Ani jednego tchnienia!... O! mordercy!...
(*rzuca się na ziemię*).

Pochłoń mnie ziemio! przykryjcie mnie góry!
I wy pagórki!... Dzień Pański!... dzień sądu!...
Zagaśnij słońce!... Elisza!.. Elisza!...
Skonała!... w mękach skonała!... Elisza!...

K r ó l J a n (*wstrząsa nim gwałtownie*).

Skarby!... gdzie skarby?...

S y m m a c h (*głosem zagasłym*):

Przykryjcie mnie góry!
Pochłoń mnie ziemio!...

K r ó l J a n (*do zbirów*):

Wziąść go na tortury!

Z TYGODNIA.

— Jakoś się wszystko zaczyna układać według dawnej miary: przebrzmiały uciechy świąteczne, progi Roku Nowego z trochą chałasu przebyto, witając go radosną wróżbą, złorzecząc zaś staruszkowi schodzącemu w wieczność.

Ubiegły tydzień udarzył nas koncertem, na rzecz wychowańców instytutu muzycznego. Sarasate przybył umyślnie na ten dzień, aby dać oznakę swej żywej sympatyi dla polaków. „Nigdzie, mówił mistrz, taką serdeczną ciepłotą serc nie otoczono mnie; nigdzie też nie zagram lepiej, jak w ojczyźnie Chopina, gdzie mnie rozumieją i odczują grę moją.“

Trudno wyobrazić sobie, z jakim entuzyazmem witano artystę Sarasatego; zapał ten odnosił się nie tylko do wielkiego mistrza, ale szlachetnemu człowiekowi cześć oddawał. Gorące to powitanie widocznie oddziałało na mistrza: ani razu może Sarasate nie grał z takiem przejęciem. Cudowne tony skrzypiec śpiewały tęsknotą rzewną, padającą łzami na serce słuchaczy.

Natchniony koncert Brucha, ballada i polonez Vieuxtemps'a, narodowe hiszpańskie melodye z kolei nas czarowały. Instytut ofiarował Sarasatemu, za pośrednictwem p. Zarzyckiego, wieniec laurowy z polskiemi pamiątkowemi napisami. Wywdzięczając się za takie przyjęcie, mistrz odegrał nad program trzy utwory, z których najsympatyczniejszym był nocturn Chopina. Wieczorem artystę gościnnie podejmował pan Zarzycki, w gronie znakomitości muzycznych i innych zaproszonych gości. Toastem staropolskim „kochajmy się“ pożegnano mistrza, który najmilsze wspomnienie po sobie zostawił.

— Młodziutki pianista Maurycy Rozental wystąpił z dwoma koncertami i grą pełną delikatnych, a subtelnych odcieni, piękne rokuje na przyszłość nadzieje.

Mamy jednak jakieś sceptyczne usposobienie dla cudownych dzieci, więc aby talent pana Rosentala spotężniał i dorósł miary mistrza, potrzeba mu usilnych studyi i pracy.

— Opera włoska nieszczęśliwie dobrana w tym sezonie, darzy nas niewielkiej świetności głosami, panna Singer, Teodorini są to dość mierne śpiewaczki, a choć sławny Naudin, odnalazł resztki cudownego głosu w Żydówce, jednak resztki te, jakoś nam do smaku nie przypadają.

— Pisząc o rozrywkach karnawałowych, należy się wspomnienie pierwszej maskaradzie, która pomimo świetnych zapowiedzi, nie udała się zupełnie. Mało w ogóle ruch zabaw, jest obudzony, dzieje się to skutkiem życia nad stan i ogólnej drożyzny. Koszta wydania balu są tak niesłychane, że tylko prawie magnackim fortunom przystoją. Ogólnie przyjęte wieczory tygodniowe, z nastaniem zimy wprowadzone, ożywione tańcami, jako najmniej kosztowne, są najodpowiedniejszą formą zabaw towarzyskich.

— Z zapowiadanych czasopism ukazały się: „Prawda“ p. Świętochowskiego, „Gazeta Świąteczna,“ „Romans i Powieść“ zaś „Wiosna“ wychodzić nie będzie.

Z dawnych pism, niektóre zmieniły objętość i format, jak np. Zorza, która bardzo sympatycznie w nowej sukience się przedstawia, celując doborem artykułów.

— Echo muzyczne, starannie redagowane, powinno się znajdować wszędzie, gdzie jest fortepian, kierować wyborem sztuk, techniką wykonania często mylnego, a swemi estetycznemi artykułami kształcić gust muzykalny. Pismo to odpowiada w zupełności swemu zadaniu.

— Ateneum przeszło pod redakcyę p. Piotra Chmielowskiego, wytrawnego pisarza, znakomitego krytyka. Ocena dzieł literackich, lub studya jego pióra, należą do najtrafniejszych i najcelniejszych; nie wątpimy iż Ateneum zyska na tej zmianie.

— Z tamtych stron donoszą nam także o trzęsieniu ziemi, więc i ta nowa zbliżająca się do nas klęska, zagraża nam.

Lekkie wstrząśnienia dały się uczuć w Winnicy na Podolu, na Ukrainie; a najsilniejsze było w Odesie, w dniu 25 grudnia o godzinie 6 wieczorem. Mieszkańcy wyższych pięter domów, uczuli jakby kołysanie statku. Meble się chwiały, szkło potrącając się brzęk wydawało, ze ścian pospadały obrazy, a nawet mieszkaniec jeden został z łóżka wyrzucony. Strach paniczny ogarnął wszystkich, szczęściem wstrząśnienia te nie powtórzyły się więcej. W tymże czasie dały się uczuć drgania ziemi: w Kiszyniewie i w Tyraspolu. Widocznie zaburzenia w wnętrzu ziemi grożą katastrofą południowej Rosyi podobną Zagrzebskiej.

— Smutną wiadomością dzielimy się z czytelniczkami. W Niemirowie na Ukrainie, spalił się do szczętu kościół, niedawno wybudowany przez Potockich. Ogień powstał z nieostrożności zakrystyana. Była to świątynia wspaniała, bogata i zasobnie opatrzona; żal jej wielki, więc i środki do jej odbudowania znaleźć się powinny, choćby drogą składek dobrowolnych.

— Odwróćmy oczy od tych smutnych obrazów, a powitajmy życzliwie Stowarzyszenie Literatów Krakowskich, nazwane „Kołem.“ Otwarte zostało dnia 6 b. m., w obecności przeszło 60 członków. Poświęcenia dopełnił ks. Ignacy Polkowski i słowami pełnemi życzliwości, przemówił do otaczających, łącząc z błogosławieństwem kapłańskiem serdeczne życzenia dla Koła.

W czasie wieczerzy wzniósł prezes Tow. pan Juliusz Kossak toast za pomyślność Koła, a wiceprezes p. Asnyk, podniósł bardzo wymownie długoletnie zasługi, obecnego na wieczorze prezesa Akademii Umiejętności prof. Józefa Majera, które w tegorocznym piędziesięcioletnim jubileuszu, jego profesorskiego zawodu, czcić będzie z należnem uznaniem całe społeczeństwo nasze, za inicyatywą Uniwersytetu i Akademii Umiejętności. Znany poeta humorystyczny p. Bartels odczytał w czasie wieczerzy, następujący przygodny wierszyk, który bardzo ubawił obecnych i wywołał odrazu ów nastrój wesoły, trwający odtąd aż do końca zabawy. Wiersz ten brzmi:

Mamy zatem literacko-
Artystyczne Koło...
Postarajmyż się, w niem gracko
Biedzie stawić czoło;
Lokal mamy: istne cacko,
Chociaż kasę gołą,
Zwyczajnie jak literacko-
Artystyczne Koło!

Poczynając od ratunku
Bliźniego, Mosanie,
Nie wiem, czy mu z rozrachunku
Dużo pozostanie;
Ale otrzem łzę Horwacką
Galicyjską połą,
Tyle stać na literacko-
Artystyczne Koło!

Zanim poczniemy pracować,
Podobni mrowisku,
Możem dziś pobaraszkować
Na nowem śmietnisku;
Z naszą naturą sarmacką,
Nieodrazu pszczołą
Stać się może literacko-
Artystyczne Koło!

Strach tylko, by w piękne rano:
(Aż pomyśleć zgroza:)
Z słusznością niepowiedziano:
„At, piąte u woza,
Posmarowane partacko
Erudycyi smołą,
Skrzypi tylko literacko-
Artystyczne Koło!“

Postanówmyż więc, panowie,
Na tem polu nowem,
Przedewszystkiem tu w Krakowie
Sensem świecić zdrowym...
A tymczasem, z miną chwacką,
Krzyknijmy wesoło:
Niech nam żyje, literacko-
Artystyczne Koło!

Pan Bartoszewicz, biorąc pochop z ostatnich ustępów wiersza Bartelsa, uczynił w składnie ułożonym, także humorystycznym, wierszu, zręczny zwrot do zadań przywódców i wzniósł toast na cześć prezesa i wiceprezesa Towarzystwa. Obecny na zabawie hr. Konstanty Przezdziecki, witając życzliwemi słowy założenie Koła, podniósł w swej przemowie, że dla przyjeżdżających do Krakowa obywateli z różnych stron Polski, nie ma nic pożądańszego, jak zetknięcie się z literatami, a szczególnie z cenionymi wysoko w całej Polsce artystami krakowskimi, do czego dotychczas mało było sposobności; gdy teraz każdy z przybywających, wprowadzony do Koła, będzie miał miłą sposobność poznania się z całem gronem.

Po wieczerzy zabawa przybrała charakter muzykalno-deklamacyjny. Profesor szkoły muzycznej p. Singer, zachwycił słuchaczy odegraniem na skrzypcach „kawatyny“ Rappa, mazurka Wieniawskiego i kilku innych kompozycyi, pełnych muzycznego wdzięku; dyrektor tejże szkoły p. Niedzielski odśpiewał umiejętnie i z werwą poloneza Moniuszki z „Verbum nobile“ i kilka śpiewek. Ks. kanonik Polkowski sprawił zgromadzeniu niespodziankę wyborną deklamacyą, zupełnie nieznanego humorystycznego utworu, jednego z poetów naszych, a pozostającego dotąd w manuskrypcie i odczytał „Pigmaliona“ Asnyka, cieniując bardzo umiejętnie wyrażone w nim myśli i uczucia. Między temi produkcyami i aż

do samego końca zabawy, która się niepostrzeżenie aż do północy przeciągnęła, porywał wszystkich do hucznej wesołości p. Bartels odśpiewaniem dawniejszych swych i nowych utworów. Wszyscy obecni rozeszli się pod wpływem bardzo przyjemnego wrażenia, życząc sobie nawzajem rychłego spotkania się na podobnej umysłowej biesiadzie.

M. R.

Gawędy botaniczne.

Przez

Wincentego Niewiadomskiego.

(Ciąg dalszy).

Pierwszym poważnym botanikiem francuzkim był Jan Ruelle, urodzony w Soissons w 1479 r. Wspaniałe jego dzieło *De natura stirpium*, rozeszło się szybko i liczyło wiele wydań. Było ono szeroką kompilacyą Teofrasta, Dyoskoryda, Pliniusza i Galiena.

Niemcy szczyciły się wówczas wielu dostojnymi botanikami, jako to: Brunfelsem, Tragus'em, dwoma Cordus'ami i Fuchs'em, którzy objaśniając starożytnych, podawali własne obserwacye, zaopatrując swe prace rycinami z wielką starannością wykonanemi. Matthiole z Sienny (1550 r.) słynny komentator Dyoskoryda, również wydaje liczne dzieła, illustrowane przedziwnie, a w końcu Rambert Dadoens, ogłasza piękną samodzielną swą pracę, obejmującą przeszło 1600 roślin.

Zwiedzenie Indyi przez Portugalczyków, nadało nowy popęd pracom botanicznym, wielce ciekawym, których twórcami byli Garcias, Acosta, Oviedo, Belon i wreszcie Clusius. Ten ostatni wykrył wiele roślin amerykańskich i pierwszy podał opis ziemniaka.

Do rozwoju tej nauki przyczyniło się przeważnie założenie ogrodów botanicznych, które poczynając od XVI w., rozpowszechniły się w Niemczech, Włoszech i Francyi. Odtąd rośliny mogły być badane z natury, nie z kompilacyi starożytnych.

Do poważnych odrodzicieli botaniki należą: Konrad Gesner, który zajmował się głównie badaniem organów owocowania; Lebel, lekarz przyboczny księcia Oranii, następnie botanik Jakóba I, twórca dzieła wydanego w 1581 r., w którem pierwszy raz odróżnione są rośliny jednoliścienne od dwuliściennych; Cesalpin, autor wielce ważnej pracy, ogłoszonej w 1583 roku, na której podał nową klasyfikacyę roślin, wykazał płeć roślin rozdzielnopłciowych, badał nasiona, zarodki, korę i zebrał pierwszy zielnik, a przynajmniej najdawniejszy z dotąd znanych. Zielnik ten przechowywanym jest dotąd we Florencyi; obejmuje on blizko 800 roślin. Wymienić też winniśmy Zaluzyańskiego czeskiego botanika; Jana i Gasparda Bauhin'ów, w których dziele mieści się opis przeszło 6000 gatunków roślinnych. Po nich występują dwaj znakomici uczeni: Malpighi i Grew, którzy uzbrojeni mikroskopem, w tej epoce wynalezionym, przyczynili się do olbrzymiego postępu wiedzy. Marbeli Malpighi, urodzony w okolicach Bolonii w 1628 r., studyował tkankę roślinną, jej komórki, nasiona, okazał w jaki sposób rozrasta się trzon, uwidoczniając tworzenie się coroczne słojów w tkance twórczej (*Cambium*) i poczynił znakomite odkrycia dotyczące zjawiska kiełkowania, przed nim jeszcze niebadanego. Grew w 1682 r., ogłosił słynny traktat odnoszący się do anatomii roślinnej. Zbadał on komórkę, naczynia, włókna, wykazał ważną rolę pylników (*anthera*) jako organów płodnych, których przeznaczenia nie oceniał Malpighi.

Po nich przyczynili się do postępu botaniki: Klaudyusz Perrault, mąż genialnego umysłu, który wykrył krążenie soku w roślinie; Dyonizy Dodart, Mariott, Jan Woodward, Morison, Magnol, Ray, Rivin i Tournefort. Trzech tych ostatnich botaników, ujęło naukę w pewien system; pierwszy z nich w Anglii w 1680 roku, drugi w Niemczech w 1690 r., trzeci zaś we Francyi w 1694 roku. Tournefort zwłaszcza zasłynął podróżami naukowemi, zebrał w Grecyi i w Azyi bogaty zielnik, zachowywany dotąd w Muzeum paryzkiem, przywiózł obok tego z tych krain mnóstwo notat ważnych i rysunki najrzadszych roślin, które były podstawą wielkiej kolekcyi Paryzkiego muzeum historyi naturalnej.

Hales publikował w Londynie w 1727 r. swą *Statystykę roślin*, dzieło wielce cenne, ze względu mnóstwa obserwacyi, dotyczących żywienia się roślin, pocenia się ich, oddychania i siły z jaką w nich sok krąży.

Dochodzimy do epoki stanowczej w historyi botaniki; do roku 1707, pamiętnego narodzeniem się Karola Linneusza. Po długich latach nędzy, w ciągu których biedny naturalista zmuszonym był ciężko pracować, dla opędzenia najpierwszych potrzeb życia i zakupienia kilku książek mu niezbędnych, znajdujemy go w Upsalu, zastępcą profesora botaniki Rudbecka. Wysłany kosztem rządu szwedzkiego z misyą naukową na Północ, wraca on z piękną kolekcyą flory lapońskiej.

Około 1730 r. Linneusz zwiedza Holandyę, gdzie wydaje najcenniejsze swe dzieła: *Systema naturae, Fundamenta botanicae, Genera plantarum* i t. p. W kilka lat później przybywa do Paryża, w którym zawiązuje stosunki przyjaźni z Antonim i Bernardem de Jussieu. Jego system, a głównie nomenklatura botaniczna, dają mu sławę europejską.

Rok 1753, to epoka najzupełniejszego tryumfu Linneusza; Adamson musi mu ustąpić pierwszeństwa, a do zapewnienia tego tryumfu botanikowi szwedzkiemu, dzielnie się przyczyniają bracia Jussieu.

Najstarszy z nich Antoni rodził się w Lyonie w 1586 roku. Mianowany profesorem Ogrodu botanicznego na miejsce Tourneforta, jednocześnie zajmuje się medycyną i pozyskuje pewną sławę. Najmłodszy z braci Jussieu, Józef, rodził się również w Lyonie w 1704 r., zwiedził Peru i przywiózł liczne okazy flory, lecz wkrótce umarł w skutek poniesionych trudów w podróży. Niepospolitą wiedzą przewyższał obu Bernard, zrodzony w Lyonie w 1699 r. Odznaczył się on wielce szacownemi spostrzeżeniami, dotyczącemi roślin wodnych. Słynny ten mąż oparł botanikę na podstawie metody, rozwiniętej przedziwnie przez jego synowca, Antoniego Wawrzyńca Jussieu'ego w dziele: *Genera plantarum*, wydanem w 1789 roku.

Po tych botanikach przychodzą Ludwig, który przyłożył się energicznie do reformy pytologii. Jan Jakób Rousseau, autor kilku traktatów botanicznych i Lamarck, słynny twórca teoryi rozwoju, który w 1778 roku, ogłosił swój system analityczny, z pomocą którego poznajemy z łatwością nazwę rośliny. System ten został następnie uproszczonym przez Lestiboudois'a. Po nich odznaczyli się cennemi poszukiwaniami w tej gałęzi wiedzy: Pontedora we Włoszech; Gleditsch w Lipsku; Oeder w Danii; Jacquin w Australii; Allione w Piemoncie: Smith w Anglii; de Candolle współczesny Lamarckowi we Francyi, i wreszcie Krzysztof Kluk w Polsce, autor *Dykcyonarza roślinnego* i wielu innych prac naukowych.

Niepodobna nam wymienić wszystkich publikacyi z dziedziny botaniki, jakie się pojawiły od schyłku ubiegłego stulecia, do dni naszych. Dzieła te przeważnie zajęły się fizyologią roślinną, czyli nauką rozpatrującą się w życiu flory i obserwacyami mikreskopowemi, znajdując szerokie pole do nowych, znakomitych odkryć. Na tem polu zasłynęli Priestley, Senebier, Ingenhomz, Saussure, Mirbet, Amici (1818 r.), Treviranus, Meyen, Schultz, Raspail, De Candolle (1827 r.), Brongniart, Agardh, Gaudichaud (1837 r.) Jussieu, Dutrochet, Richard, Thuret, Tréml, Decaisne, Pouchet, Schleiden, Schacht, Hofmeister, Chatin, Lecoq, Fermond i stu innych badaczy.

W pracach dotyczących klasyfikacyi roślinnej położyli ważne zasługi: De Candolle, Richard, A. Jussieu, Lindley, Knigth, Endlicher, Meisner, Duchartre, Baillon, Vaucher, Agardh, Persoon, Fries, Viviani, Montagne, Léveillé, Payer, Ad. Brongniart, de Maout, Decaisne, Casson i i.

Botanika wreszcie kopalna, nauka całkiem nowa, opiera się na odkryciach Brongniarta, Sternberga, Huttona, Lindleya, Schlotheima, Goeperta, Schimpera i wielu innych.

. . . .

Z tej długiej listy widzimy, jak licznych botanika miała pracowników. Stargała ona krępujące jej rozwój powijaki i po niedołężnych próbach, postępując zwolna, lecz ciągle, wstąpiła na drogę doświadczalną. Na tej to drodze obrzucona została światłem słonecznem, które jej dozwoliło dokonać zdumiewających odkryć i otwarła nowe, dotąd jej nieznane, horyzonty wiedzy.

(d. c. n.)

TEATR.

Pod dobrą wróżbą rozpoczynam dziś w „Modach" moje obowiązki sprawozdawcze. Mam skreślić wrażenia z trzech utworów oryginalnego pióra, które młody nasz a tak wiele obiecujący reżyser p. Władysław Szymanowski związał w zajmujące i urozmaicone widowisko noworoczne. Dwa tygodnie mija, a trzy te komedyjki wabią ciągle tłumy publiczności do teatru, widać, że powodzenie było, że są one dziełem istotnych talentów, o które nam, dzięki Bogu, coraz łatwiej.

W obec wyroku, jaki wydała publiczność, zdawałoby się, że powinna milczeć krytyka, bo „głos tłumu, głos prawdy." A przecież tak nie jest. Publiczność lubi się bawić, ale nie zawsze wie, jak się bawić należy. Aby nie popełniała tu pomyłek, aby w łatwych uśmiechach i płochej pustocie humoru nie roniła dóbr moralnych umysłu i serca, narzuca jej się z namaszczeniem i surowością poczutej misyi społecznej, ta mentorska, zgryźliwa, czasem zgorzkniała, jak piołun, krytyka, i dyalektyką słowa, usiłuje częstokroć zepsuć najweselsze wrażenie, odebrane w teatrze, zasępić najszczerszy wyraz zadowolenia, rozproszyć najpromienniejsze ślady dobrego humoru. Nie rozkoszna to zaiste dola, z morałem na ustach i szorstką powagą na czole, wchodzić pomiędzy wesołe grono uczestników dobrej zabawy i cykutę mięszać do nektaru artystycznych upojeń, pragnących w jednej godzinie złudzeń, pozbyć się wszelkiej troski o artykuły obyczajowej wiary, o hasła moralne społeczeństwa, o czystość słowa i śmiechu, o poszanowanie pewnych idei, których nie można z płochością histryoną wyprowadzać na urągowisko lub ośmieszenie.

Czyż nie milej byłoby mi ubawić się wraz z publicznością szczerym i subtelnie zabarwionym komizmem tej sytuacyi małżeńskiej, którą odmalował p. Zygmunt Sarnecki w swojej dowcipnej fraszce: „Nad ranem?" Któż byłby tak niewrażliwym, aby się nie dał porwać jego figlarnemu konceptowi? Któż nie roześmiałby się z tego dobrodusznego anachoretyzmu hrabiego Konstantego, którego powodów nie wytłumaczę wam, piękne czytelniczki? O ileż to lżej byłoby mi na sercu, gdybym nadrwiwszy sobie z tego biedaka, któremu nie pozwalają kochać własnej żony, popieściwszy się wdzięcznemi błyskotkami wykwintnego dyalogu i tą schlebiającą dobremu smakowi gracyą formy, lekkiej, wydmuchniętej z przezroczej pianki, nie musiał wnet mięszać dyssonansu we własne wrażenia, gdybym nie potrzebował z obowiązku, który w tym razie spływa się z przeświadczeniem, dopisać na marginesie mych płochych wrażeń, że cała ta sytuacya, którą p. Sarnecki tak zręcznie wynalazł, jest estetycznie niesmaczną a moralnie wstrętną, że w wytwornej bluetce jego talent roboty wiąże się z cynizmem pomysłu, i że nie należało sympatyczną parę młodych małżonków, wcielających w sobie ideę rodziny, narażać na rumieniec wstydu, ilekroć przyszło im spojrzeć na amfiteatr natłoczony świadkami scen, które pragnęliby zapewne przysłonić kotarą z najgrubszego adamasz-

ku. Wszakże ci państwo dla gości mają salon—czyż to dyskretnie nam obcym, obojętnym, spędzonym z całego miasta widzom, wdzierać się do ich buduaru? Myśmy tam poszli, bo podżegnięta ciekawość umie bywać niedelikatną, *ale po co ty nas tam wodziłeś, autorze?*

Nie usprawiedliwi cię to nawet, jeżeli powiesz, że hrabia Konstanty i hrabina Amelia, to postacie fikcyjne, że to tylko tak ślicznie *gra* panna Deryng i tak komicznie *udaje* swoje cierpienia p. Leszczyński. Prawda, że to teatr, a nie istotne ognisko rodzinne, nie *życie*... Ale i w takim razie zauważyć wypadnie, że teatrowi mniej wolno, aniżeli samemu życiu.

Że bez tego pieprzyku eleganckiej nieprzyzwoitości można napisać dobrą, a nawet lepszą komedyę, dowiodła tegoż samego wieczoru pani Mellerowa, która w pierwszej scenie swej dwuaktowej krotochwili: „Poranek muzyczny“ odtrąciła wprawdzie bez potrzeby nosek posągowi Wenery, bo przyprawiło ją to o parę niesmacznych usiłowań ukrycia jego braku, ale prócz tej przelotnej i przez swawolę panny Czaki, ubranej za chłopca, trochę nadużytej sytuacyi, umiała się utrzymać wybornie w granicach taktu scenicznego, zarówno w pomyśle, jak w rozwinięciu bogatej i ożywionej naturalną werwą akcyi. Tem szczęśliwszą była pani Mellerowa, że chcąc napisać krotochwilę, przypadkiem stworzyła rzecz, mającą wszelkie znamiona społecznej komedyi, obyczajowej satyry. Ta krotochwila jej *pozwala* śmiać się, a *każe* myśleć.

Pani Ewarystowa (pani Borkowska), kobieta czcza i próżna, źle wychowała córkę: lalka więc z niej bez uczucia, bez delikatniejszych instynktów serca, bez godności. Życie Miry, to ciągłe *flirtowanie*, to pląs motyli po kwiatach, to zimny a bezmyślny rachunek cyfer. I cyfry ją właśnie zdradzają: pan de Rosé (p. Waliszewski), mozolnie kokietowany dyrektor, zwraca się od błyszczącej pozorami panny, do prostego, zaledwie myśleć umiejącego, ale serdecznego dziewczątka, do Pelci Wojłokówny (pani Holtzmanowa), która umie odczuć cierpienia kotki, wówczas gdy Mira nie odczuwa nawet rozpaczy człowieka.

Po ciężkim kataklizmie wewnętrznym, jaki przebywa Leon (p. Prażmowski), wytrzeźwia też i on się ze swego marzycielstwa, w którem było i zmysłowych trochę pierwiastków,—i z chwilą, gdy dzięki talentowi, przychodzi do sławy i majątku, podaje rękę domowemu kopciuszkowi, Bogumile (pani Lebrunowa), która sama już chyba zapomniała, że może być czemś więcej na świecie, jak Siostrą miłosierdzia. Nawet wzbogacony cieśla p. Zenon (p. Chomiński) woli się ogrzać przy serdeczniejszej pani Wojłokowej (p. Ostrowska), a „bez pary“ w tym turnieju zaślubin pozostaje tylko Mira. Jest piękąca ironia w tem nagromadzeniu kojarzących się małżeństw dokoła Miry, która sama jedna osiada na koszu, jako pasożyt społeczny, jako wampir dla serc, jako materyał nieużyteczny do rozniecenia ogniska domowego.

W tej dążności obyczajowej, uwydatnionej nie w patetycznej frazeologii, ale występującej, jako naturalna konsekwencya, z malowidła charakterów, z szkicowego rysunku drugorzędnych nawet postaci, z nawiązania komicznych konfliktów i niezmiernie zręcznego przeciwstawienia dosadnych kontrastów, tkwi głębsza wartość bezpretensyonalnej krotochwili.

Zdolności komedyopisarskie pani Mellerowej weszły, jak się zdaje, w okres stanowczego dojrzewania: poznać to po śmiałości rysunku, po charakterystycznej pełni figur, po prostocie logicznej w budowie sztuki, po swobodnej werwie w bogatej, kipiącej życiem, porywającej prawdą akcyi, po naturalnym kolorycie barwnego i ruchliwego dyalogu. Bujny i krzepki ruch, jaki panuje ciągle na scenie, streszczający się co chwila w kulminacyjne momenta akcyi, świadczy o rutynie i zdrowem poczuciu życia scenicznego u autorki, a są w tej migotliwej, gwarnej akcyi szczero-złote pomysły o krotochwilowym pokroju, jak np. wyborna scena zadawania Mirze lekarstwa przez pieczołowitego ojca w chwili, gdy panna pragnęłaby się kochankowi swojemu wydać najidealniejszą, najeterycznejszą istotą, albo scena pozowania się matki i córki na przyjęcie sentymentalnego młodzieńca i t. p. Za szczególny dowód *poczucia formy* u autorki, uważamy to, że sytuacyi poważniejszych nie traktuje za poważnie, że umie z taktem utrzymać styl krotochwili, wiedząc, że takowa na rzeczy smutne nawet—z powołania swojego—patrzyć musi wesołem spojrzeniem Menandra.

Udatny ten i szczerze dowcipny utwór Mellerowej wykonali z humorem i dosadną charakterystyką nasi artyści; z licznej ich drużyny wyszczególnimy za grę, pełną trafnych obserwacyi i utrzymanego w granicach komizmu, p. Ostrowską (Wojłokowa), Chraszczewską (Mira) i pana Ostrowskiego (Koperski). Ciepło odczutą i szlachetną była również gra pana Prażmowskiego w roli Leona.

Trzecia komedya: „Jakże trudno dobrać pary,“ pierwszy utwór poczynającego pisarza ks. Radziwiłła, jest rodzajowym obrazkiem na tle serdecznych stosunków życia rodzinnego. Rzeczywistej wartości jej szukać należy w zgrabnie, a nawet subtelnie wyrzeźbionej postaci archeologa Koryolana (p. Rapacki); o podejście poczciwego staruszka na rzecz kochającej się pary Edmunda (p. Prażmowski) i Zosi (panna Rapacka), o zwalczenie przesądów jego ku dzisiejszej młodzieży i ku temu wszystkiemu, co tchnie naturą, życiem, teraźniejszością, rozgrywa się szlachetny i nieszkodliwy pojedynek, pomiędzy zaśniedziałym w „antykach autentycznych“ dziadunem a spiskującą na jego archeologiczne słabostki młodzieżą, której sekunduje ciotka Edmunda, także wdowa po archeologu, ale kobieta ciepła i rozsądna, będąca zarazem szczęśliwą właścicielką chińskiej filiżanki, której parę posiada archeolog. Intryga płącze się niezbyt pomysłowo, niezbyt raźnie, ale jest w obrazku pewien wdzięk, jakieś tchnienie serdecznego ciepła, jakiś ślad głębszego pojmowania kwestyi życia, a przytem wypieszczona ta *con amore* postać staruszka, i wszystko to stwarza całość, której nie można odmówić—prawie talentu... Dodajmy, że p. Rapacki stworzył z Koryolana przepyszną postać charakterystyczną, szczerze odczutą i jednolicie zbudowaną, a panna Rapacka rozwinęła dużo wdzięku, sprytu i efektownej finezyi.

Bronisław Zawadzki.

NAD BRZEGIEM MORZA.

NOWELLA,

przekład z niemieckiego

STEFANII B.

(Dokończenie).

— Ale co świat na to powie?—zauważył trochę wzruszony.

— Świat mnie nie zna, a gdyby nawet dowiedział się że istnieje jakaś brzydka, czarna córka barona Floora, to nie zmieni w niczem mego zamiaru.

— I to na seryo mówisz?

— Najzupełniej. Rozmowa nasza skończona. Resztę, co do objęcia przez ciebie majątku, może ułożyć twój adwokat.

— Niema co mówić—wtrąciła baronowa—twoja żona rozporządza się, jakgdyby przedtem ułożyła rzecz całą.

— Dziś jeszcze wyjadę z panną Blumberg i nie potrzebuję cię prosić Adalbercie, żebyś nie probował zobaczyć się ze mną; wiem, że sam nie zechcesz, najprzyjemniejsza dla ciebie byłaby wiadomość o mojej śmierci.

— Mylisz się, Lucy—zawołał żywo.

— Nie! nie! Jestem ci zbyteczna, wiem to i żegnaj na zawsze.

— Lucy!—zawołał on jeszcze, gdym się zwróciła ku drzwiom—wszak przed chwilą powiedziałaś że mnie kochasz?

— Kochałam cię—odrzekłam spokojnie—kochałam odkąd zapamiętam; teraz postaram się znienawidzieć, a jeśli to nie uda się—umrę.

Od tej chwili nie widziałam go. Na drugi dzień byłam już tutaj z rozpaczą w duszy, obojętna na wszystko, co mnie otaczało. Trzy lata, które przeżyłam, wydały mi się wiecznością. Myśl o moim Adalbercie nie opuszczała mnie ani na chwilę. Odebrałam od niego kilka listów, lecz je zwróciłam nierozpieczętowane.

Nareszcie ty przyjechałaś, Maryanno i potrafiłaś pomału rozbudzić we mnie jakieś nadzieje; zaczęłam wierzyć, że jest na świecie wiele pięknych, szlachetnych rzeczy, dla których żyć warto i postanowienia moje pierzchły gdzieś.

Lucy skończyła. Na ustach jej igrał lekki uśmiech, rozmarzony wzrok tonął w błękicie niebios, jak gdyby wypatrywał dla niej gwiazdkę nadziei.

Łagodny szum fal wtórował romantycznej historyi mojej towarzyszki i cały krajobraz, jak gdyby utracił swoją dziką barwę.

— Lucy—zawołałam po chwili milczenia—cudowne zakończenie ułożyłam sobie do twojej historyi.

— Czy być może?—zapytała ze śmiechem.—Czy zgodzisz się całe życie zemną przepędzić?

— Nie! W mój program wchodzi miłość i szczęście, uwieńczone prawdziwem weselem, jeżeli tylko zgodzisz się i pokonasz swą dumę.

— Słucham ciebie, Maryanno; czuję, że duma moja zmiękła pod twym wpływem, więc może się zgodzę.

— Cztery lata temu jak wyszłaś zamąż; byłaś może wtedy brzydkiem, nierozwiniętem dzieckiem, ze słabą wiedzą i zupełną nieznajomością świata: dziś przedstawiasz sobą kobietę w całej pełni piękności, z umysłem rozwiniętym i gotowym przyjąć naukę...

— Lecz dlaczego mi to mówisz?

— Bo to głównie wchodzi w mój plan. Cobyś na to powiedziała, jeśliby Adalbert teraz zakochał się w tobie? Nic łatwiejszego, tylko musisz się zupełnie oddać w moje rozporządzenie. Dla ciebie pogodzę się z ciotką, pojedziemy do niej i zapoznam cię z baronem von Denner, jako moją krewnę. A jeśli to nie skończy się szczęśliwie, tak nie chcę wierzyć w Opatrzność.

— A on, czy mógłby mnie pokochać teraz?—zapytała zcicha cała zapłoniona.

— O! tego jestem pewna. Lecz może ty, Lucy, zdołałaś go znienawidzieć przez te cztery lata?—zapytałam żartobliwie.

— Nie!—zawołała—kocham go z większą jeszcze mocą.

— Tak rzecz skończona. Za tydzień wyjeżdżamy do Paryża.

— Do Paryża, Maryanno?

— Tak, Lucy. Powinnaś poświęcić przynajmniej pół roku dokończeniu twej edukacyi, żeby z powodzeniem pokazać się w świecie. To niezbędne. Trzeba, żeby baron poznał wykształconą, światową damę, zamiast dawnej brzydkiej, niezgrabnej dziewczynki. Paryż da ci najprędzej ten polor, który świat uważa za konieczny. Przytem musisz wydoskonalić się w śpiewie i brać lekcye tańca.

— Ach! jakże chętnie zrobię to wszystko, lecz ty zemną pojedziesz, Maryanno!

— Naturalnie.

— A po upływie tego czasu co będzie?

— Potem, jeśli mi się uda namówić ciotkę, to pojedziemy z nią do Szwajcaryi i Włoch. Nic tak nie dopełni wykształcenia, jak podróże.

— Cudowna myśl—zawołała uradowana.

— A teraz pora nam do domu — rzekłam wstając—pani Klein pewnie z niepokojem nas wygląda.

Tego jeszcze wieczora odprawiłam list do ciotki, prosząc ją o przebaczenie mi mej, względem niej gwałtowności i przyrzekając odtąd we wszystkiem wypełniać jej wolę, oprócz tylko małżeństwa z baronem Willtem. Na odpowiedź nie długo czekałam: ciotka z radością otwierała mi swoje serce i swój dom, dając przytem do zrozumienia, że zaślubieniu memu z wybranym przezemnie człowiekiem, nie będzie przeciwną.

Na kilka dni pojechaliśmy do Berlina dla zobaczenia się z ciotką, która ze łzami radości przywitała mnie, nie czyniąc przytem ani słowa

wymówki. Lucy towarzyszyła mi. Ciotka znając naszę tajemnicę, wielce była zainteresowana jej losem.

— Dziwna historya—rzekła—ktoby pomyślał, że ten melancholiczny Denner ma taką śliczną żonę.

— Więc powiadasz, ciotko, że on smutny?

— Tak wydaje się przynajmniej, mówią, że z przyczyny Gabryeli, w której zawsze jednakowo zakochany.

— Gabryela w Berlinie?—spytałam nie bez nieukontentowania.

— Tak, mąż jej służy w dyplomacyi a ona gra pierwszą rolę w naszym wyższym świecie. Lecz to nic nie znaczy. Piękność jej zanadto znana i zgaśnie w porównaniu z twoją prześliczną Lucy.

Następnie, z poradą ciotki wybrałiśmy najpierwszy zakład naukowy w Paryżu i z jéj życzeniami puściłyśmy się w drogę. Jak było ułożone, Lucy pół roku poświęciła naukom, a postępy jej przeszły moje oczekiwanie. Piękność jej nabrała nowego wdzięku i ja z dumą patrzałam na nią, jako na moje dzieło. Później w towarzystwie ciotki, udałyśmy się w podróż. Lucy gorąco zachwycała się pięknościami natury i zabytkami dzieł sztuki. Jeździłyśmy nawet dłużej nad program i wracałyśmy do Berlina dopiero w początku zimowego sezonu.

V.

Jeszcze nigdy tak świetnie nie zaczynał się zimowy sezon jak w tym roku, pamiętnym w życiu mojem i moich przyjaciół. Świeżo odnowione apartamenta ciotki czekały nas, jak równie salony liczuych naszych znajomych były otwarte; w perspektywie więc mialyśmy bale, wieczory i rauty, przyjemności, dotąd zupełnie obce naszej Lucy.

Ułożyłam sobie, że pierwsze spotkanie jej z Adalbertem odbędzie się w teatrze, dla uniknienia dłuższéj rozmowy z nami, łatwiejszego ukrycia wrażenia, jakie pojawienie jego wywrze niewątpliwie na pogardzonéj jego żonie.

Właśnie afisz zapowiadał pierwszy gościnny występ sławnej węgierskiej śpiewaczki, i ja nie wątpiłam że cała arystokracya pobieży do teatru.

Długo radziłyśmy, jaką toaletę wybrać dla Lucy; nareszcie kwestya ta była rozstrzygnięta i nigdy moja mała przyjaciółka nie wyglądała efektowniej, jak gdy stanęła przed nami w lekkich falach błękitnej materyi, za całą ozdobę mając sznur pereł na szyi i takiż dyadem w kruczych włosach. Bukiet białych kamelii zdobił stanik.

— Jakże prześliczną jesteś, drogie dziecię—zawołała mimowoli moja ciotka, obejmując ją spojrzeniem.

Niedługo potem siedziałyśmy już w loży. Lucy, nie przywykła do podobnego rodzaju widoku, z dziecięcą ciekawością rozglądała się w okrąg sali, a wyraz zdumienia, jakie wzbudzało w niéj to luźne zebranie, szczególnym wdziękiem odbił się na twarzyczce.

Podniosła się kurtyna i cała uwaga Lucy zwróciła się na scenę. Prymadonna na debiut swój wybrała partyę Łucyi z Lamermooru, lecz zajęcie publiczności podzielone było między śpiewaczkę a nieznaną im pięknść w niebieskiej sukni, która z pochyloną naprzód główką, chciwie słuchała uroczych melodyi włoskiego mistrza. Lucy tak była pochłonięta śpiewem, że nie zważała, jak drzwiczki przeciwległej loży rozsunęły się i weszła poważnych lat dama, a za nią wysokiego wzrostu, piękny mężczyzna.

Była to baronowa von Denner z synem. Adalbert pobieżnym wzrokiem objął całą salę i oczy jego zatrzymały się na naszej loży. W spojrzeniu tem, zdawało mi się, że czytam zachwyt i podziwienie. Nachylił się ku matce, szepnął jej coś i ona także twarz swoją ku nam zwróciła.

Nie odgadywali zapewne, że ta cudna istota, ku której z podziwem zwracają się ludzkie spojrzenia, to jest to samo, brzydkie czarne stworzenie, które niegdyś odepchnęli.

— Lucy—rzekłam zcicha do mej towarzyszki—czy możesz bez wzruszenia wysłuchać to, co ci powiem?

Promień nadziei i radości strzelił z jej czarnych oczu.

— Mów, ukochana—odrzekła cichutko.

— Adalbert jest tutaj.

Dobrze, żem ją ostrzegła o tem, gdyż, jakkolwiek była przygotowana na spotkanie z nim, jednak widocznie pobladła ze wzruszenia i ręka, którą ściskałam w swoich, nerwowo zadrżała.

— Ukryj twarz twoją w bukiecie, Lucy—rzekłam—patrzą na nas.

Kiedy po chwili podniosła ku mnie główkę, wyraz nieopisanego szczęścia jaśniał w czarnych oczach.

— Gdzie on? Czy nie mogłabym na niego spojrzeć, Maryanno!—spytała drżącym głosem.

— Czy tylko pewna jesteś siebie, Lucy? Widok jego może cię zanadto wzruszyć.

— Nie, Maryanno. Patrz ja już spokojna.

Wskazałam jej Adalberta. Ona skierowała ku niemu lornetkę, lecz za chwilę ręka jej bezwładnie upadła na kolana.

— Lucy, czy chcesz, abyśmy pojechali do domu?—szepnęłam, lękając się, aby wzruszenie jej nie zwróciło czyjej uwagi.

— Nie... To przeszło już. Zostaniemy. Nie zmienił się nic, tylko taki smutny...

Tymczasem Adalbert wstał i wyszedł z loży. Wiedząc o przyjaznych stosunkach, jakie łączyły baronowę z ciotką, byłam pewna, że odwiedzi nas w loży.

— Lucy! Teraz staraj się zapanować nad sobą. Wszystko od tego zawisło. Mąż twój za chwilę tu wejdzie: czy masz siłę spotkać się z nim jak obca?

— Sprobuję, Maryanno.

I rzeczywiście drzwi odsunęły się i Adalbert von Denner stanął między nami. Przywitawszy się z moją ciotką, poprosił ją o poznajomienie go z nami.

— Zdaje się, panno Ewers—rzekł z uśmiechem, który mu przedziwnie rozjaśnił całą twarz—ja już panią kiedyś widziałem?

— Tak, spotykaliśmy się dawniej.

Spojrzał na Lucy, jak gdyby chciał się dowiedzieć, czy i ona też Ewers, gdyż ciotka przedstawiając nas obie, nazwała swemi siostrzenicami.

Lucy była nieco odwrócona od niego. Piękne jej błyszczące oczy były nawpół zakryte i długie, ciemne rzęsy rzucały cień na pałające policzki. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak zachwycającą. Adalbert był oczarowanym. Zajął puste krzesło obok nas i zaczął mówić o teatrze. Lucy przyznała się, że pierwszy raz słyszy operę, co go niezmiernie zdziwiło; ciotka dodała, że siostrzenica jej dotychczas żyła na wsi i zupełnie nie zna wielkoświatowych rozrywek.

Zakłopotanie Lucy zniknęło i odpowiadając coś swemu mężowi, podniosła nań oczy z wyrazem głębokiego uczucia. Spojrzenie to o mało ją nie zdradziło. Adalbert został w naszej loży do końca przedstawienia i żegnając się prosił, żeby mu pozwolono złożyć nazajutrz wizytę. Zobaczywszy ją w dziennem świetle, Adalbert jeszcze więcej zdawał się być zachwycony śliczną twarzyczką Lucy i wizytę swoją przedłużył nad czas przepisany etykietą, jak gdyby nie miał siły rozstać się z nami.

Na usilne prośby moje i barona, Lucy siadła do fortepianu i zaśpiewała tę smętną piosnkę, która mnie niegdyś tak wzruszyła. Pełne, tęsknotą drgające tony przenikały do głębi serca i Adalbert widocznie odczuł słowa piosenki.

— Dziękuję pani—rzekł, ściskając jej rączkę—melodyą tę będę słyszał we śnie.

Ona zarumieniła się i szczęśliwy uśmiech przemknął po jej usteczkach.

Potem rozmawialiśmy o blizkim balu u angielskiego posła; Adalbert zapytał czy wybieramy się tam być, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, pożegnał się, wyjawiwszy nadzieję prędkiego zobaczenia się z nami na balu.

Tam także spodziewałyśmy się spotkać księżnę Gabryelę. Lucy widocznie lękała się tego spotkania i z szczególną troskliwością dobierała sobie tualetę.

Biała atłasowa suknia przybrana koronkami i bukietami świeżych róż, takiż wianek na głowę z połyskującą gdzieniegdzie brylantową rosą; strój ten nieskończenie podnosił oryginalną urodę Lucy.

Bal był już w całym blasku, kiedyśmy z Lucy weszły do salonu. Adalbert w tej chwili podszedł ku nam, poprowadził do swej matki i przedstawił nas. Baronowa rozmawiała z księżną Gabryelą i Lucy stanęła obok swej rywalki, nie bez tajemnego drżenia serca. Trudno było znaleźć dwie piękniejsze kobiety, chociaż piękność ich była każda w odmiennym rodzaju. Lucy jednak przewyższała swoją przeciwniczkę świeżością i wdziękiem.

Zdaje mi się, że i Adalbert robił między niemi porównanie, które musiało wypaść na korzyść Lucy, gdyż przez cały wieczór nie odstępował jej i Gabryela naprożno zwracała swą złotowłosą główkę w stronę swego dawnego wielbiciela.

Od tego czasu, nie przeszedł dzień, żebyśmy nie widziały Adalberta. Spotykaliśmy się z nim w towarzystwach, na spacerach a wieczorami w operze lub na balu. Nie opuszczał sposobności, gdzie mógł mieć nadzieję zobaczenia Lucy, i z całego z nią obejścia łatwo poznać było, że zakochany. Przenikliwość moja nie zawiodła mnie.

Raz siedzieliśmy we troje w salonie, ja rysowałam a Lucy siedziała opodal pochylona nad robótką.

— Jaki piękny profil ma pani kuzynka—rzekł mi zcicha—czy nie probowałaś pani rysować jej portretu?

— Nie... Lecz czemuś pan dziś tak smutny, baronie?

— Wiesz pani?—rzekł mi ciagle patrząc na swą żonę—w rysach panny Lucy jest mi coś niesłychanie znajomego, choć nie mogę sobie przypomnieć, czym widział gdzie podobnie uroczą twarzyczkę.

Lucy, jej uroda, wdzięk, ułożenie: oto była treść rozmów między mną a baronem.

Zima przeszła bystro, zabawy cichły. Adalbert nie zmienił swego postępowania, chociaż Lucy często traciła cierpliwość.

— Długoż tego będzie, Maryanno?—pytała nieraz.

— Poczekaj, najdroższa—odpowiadałam—zobaczymy jak on wyjdzie z tego położenia. Wszak wiesz, iż on sądzi, że w samotnym zamku nad brzegami morza żyje jego brzydka, pogardzona żona.

Na zakończenie nie czekaliśmy długo. Tego samego dnia lokaj zameldował nam barona i gdy wszedł do salonu, byłyśmy porażone bladością i smutkiem rozlanym na jego twarzy. Był roztargniony, i po kilku obojętnych słowach objawił nam, że wyjeżdża do Włoch.

— Czemużto?—spytałam z zadziwieniem.

— Tak,—odpowiedział z boleścią—trzeba to nakoniec raz przerwać; wyjeżdżam dziś, jutro... nie wiem jeszcze, ale przed wyjazdem, panno Ewers, ja powinienem wszystko wam odkryć.

Spojrzałam na Lucy. Zbladła straszliwie i postąpiła kilka kroków ku drzwiom.

— Nie!—zawołał—zostań pani i wysłuchaj mnie... ostatni raz może.

Ujęłam drżącą rękę Lucy i przyciągnęłam ją do siebie.

— Tak, powinienem odkryć wszystko—mówił patrząc z głębokiem uczuciem w pobladłą twarzyczkę mojej przyjaciółki—i darujcie, żem tego wcześniej nie uczynił: lecz nie miałem siły. Pokochałem całem sercem młodą, czystą istotę, wiedząc, że moją nigdy być nie może, gdyż—przebaczcie mi moją winę—jestem żonaty.

Tu opowiedział nam historyę, już znaną czytelnikowi, przeplatając słowami: biedna, biedna mała Lucy!

— Jeżeliby mi dali czas namyśleć się—kończył Adalbert—prędzej wyrzekłbym się dziedzictwa, aniżeli kupił je ceną całego mego życia; lecz wiadomość o zamęściu Gabryeli, w której dwudziestoletni wówczas młodzieniec, szalenie byłem zakochany, zdecydowała mnie, dałem się związać i dziś poznaję jak nieszczęśliwym jestem.

Jakkolwiek żona moja była mi zupełnie obcą, jednak umiałem cenić jej szlachetną dumę i jako córka mego ukochanego opiekuna, mogła liczyć na mą przyjaźń. Ona jednak kroków pojedna-

nia nie przyjmowała, listy moje odsyłała nierozpieczętowane i dotychczas nie wiem, co się z nią dzieje.

Spotkałem panią—ciągnął dalej obracając się do Lucy—i teraz dopiero poznałem, co to jest miłość prawdziwa. Kocham cię, panno Ewers, lecz postaram się zagłuszyć to nieszczęsne uczucie, choć mnie to wiele kosztować będzie. Teraz wiecie dlaczego wyjeżdżam. Dziękuję tylko niebu, że chociaż pokochałem cię od pierwszego wejrzenia, ani jednem słowem nie starałem się wzbudzić w tobie podobnego uczucia.

Zakrył twarz rękami i westchnął głęboko. Lucy płakała cicho, położywszy głowę na mojem ramieniu.

— Jak wyglądała wasza biedna kuzynka?— zapytałam po chwili ogólnego milczenia.

— Nie dobrze ją pamiętam: była niewielka, śniada; w twarzy jej widać tylko było duże czarne oczy.

— Może być, baronie—rzekła cicho Lucy— pan z czasem pokochasz twoją żonę.

— Lękam się, że to nie stanie się nigdy—odrzekł poważnie—miłość i nadzieja zgasły dla mnie nazawsze.

Ona podeszła ku niemu.

— Czy pokochałbyś ją pan—rzekła drżącym głosem—jeśliby przyszła do ciebie i prosiła: Adalbercie, w imię zmarłego mego ojca błagam cię, zapomnij o przeszłości!

On niepewnym wzrokiem spojrzał na nią.

— Jeśliby przyszła do ciebie i rzekła—ciągnęła dalej Lucy—byłam wtedy złem, gwałtownem dzieckiem i nie mogłam słuchać słów obrażających pamięć mojéj matki, lecz teraz ja kobieta kochająca cię jak dawniej, całą mą duszą.

Chciał coś przemówić, lecz słowa nie wyszły z ust jego a twarz silnie pobladła.

— Kto jesteś... że mnie tak kusisz?—zawołał stłumionym od wzruszenia głosem.

— Ja?... Lucy, twoja żona, Adalbercie!—zawołała wyciągając do niego ręce. On je pochwycił jak szalony i za chwilę głowa dziewczęcia spoczywała na jego piersi.

Wysunęłam się nieznacznie, i gdy po godzinie weszłam do salonu, siedzieli obok siebie trzymając się za ręce, a twarze ich promieniały bezgranicznem szczęściem.

— Jak ja mam tobie dziękować, Maryanno— zawołał podchodząc ku mnie—Lucy opowiedziała mi wszystko: tobie winienem moje szczęście.

— Widok wasz jest zapłatą za wszystkie moje trudy—odpowiedziałam śmiejąc się.

Szczęśliwy to był dzień! Zawiadomiliśmy starą baronową o porozumieniu się młodej pary i ona przyjechała dzielić naszą radość.

— Czy to podobna?—powtarzała zdumiona— ta piękna, pełna wdzięku osoba, to ma być nasza mała Lucy!

Adalbert był jak gdyby odurzony swem szczęściem; musiałam mu opowiedzieć najmniejsze szczegóły przebywania mego w zamku nad brzegiem morza. Niemniej zdumiony był adwokat Engelman, skoro dowiedział się o wszystkiem, a zdaje się, że trochę gniewał się o to, żeśmy przed nim ukrywały rzecz całą i że nie wiedział o naszym pobycie w Berlinie.

Teraz Lucy jest najszczęśliwszą kobietą w świecie. Piękna, wykształcona, mąż ją ubóstwia, ludzie otaczają szacunkiem: jednem słowem nic nie zamąca jej szczęścia.

Co zaś do mnie, jeżeli czytelnik zainteresował się moim losem, to z przyjemnością oświadczam, że od kilku lat zaślubiłam mego ukochanego Brunona. I my i baronowie von Denner mieszkamy w Berlinie, często się widujemy i nieraz jeszcze wspominamy o tajemnicy nad brzegiem morza.

K O N I E C.

Czem się u nas zajmie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci?

Zajmując się czynnie kwestyą założenia Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, śledzimy pilnie pojawiające się w innych pismach artykuły, dotyczące tej sprawy; dlatego podajemy czytelniczkom artykuł Dra St. Markiewicza, drukowany w Kuryerze Warszawskim, objaśniający rzecz całą i będący jakby wstępem do ustawy, której opracowaniem zajmują się obecnie kompetentni i wielkiej zacności ludzie, wybrani z grona komitetu w naszej redakcyi postanowionego.

Warszawa i kraj cały, żywo zajmują się projektem Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, nad którym pracuje obecnie komitet, zbierający materyały tak dotyczące podobnych instytucyi za granicą, jak i odnoszące się do tych zakładów warszawskich, które dziś już, do pewnego stopnia, opuszczonemi lub ubogiemi dziećmi się opiekują.

Przy całym interesie, jaki sprawa ta wszędzie budzi, spotkać się jednakże można częstokroć z niejasnemi poglądami co do tego, jakie *zadanie*, albo raczej jakie *zadania* projektowane Towarzystwo ma u nas spełniać?

Z powodu tych wątpliwości i dla wykazania jak wiele jest na tem polu do zrobienia, chcę tutaj dać jaknajtreściwszy obraz działalności dobroczynności publicznej i prywatnej w Paryżu, w zakresie opieki nad niemowlętami i dziećmi.

Obraz ten oczywiście nie może służyć nam wprost jako wzór do naśladowania, ale niezawodnie powinienby, zdaniem mojem, stanowić wskazówkę i że tak powiem, szemat działalności projektowanego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, jeżeli nie od pierwszej chwili ukonstytuowania się tej tak potrzebnej instytucyi, to później na drodze jej dalszego, da Bóg rozwoju i postępu.

Obraz, który tu chcę podać, skreśliłem według dobrej bardzo i w urzędowe dane statystyczne bogatej książki p. C. J. Lecour: p. t. *La Charité à Paris* (1876).

Pomoc i opieka dawana dziecku, o tyle jest skuteczną, o ile się rozciąga do matki, która nosząc dziecię w swem łonie, jest zagrożona nędzą lub hańbą.

W Paryżu biura dobroczynności (*bureaux de bienfaisance*), istniejące w każdej dzielnicy (*arrondissement*), wskazują każdej zamężnej, czy niezamężnej ciężarnej ubogiej kobiecie, do której akuszerki ma się udać i koszta pomieszczenia na pensyi u akuszerki ponoszą.

Urządzenie to oparte jest na rozporządzeniu ministeryalnem z r. 1813, według którego każde biuro dobroczynności ma mieć swoje akuszerki.

W tym samym kierunku rozwijają też działalność różne instytucye prywatne, a mianowicie: Towarzystwo miłosierdzia macierzyńskiego (*société de charité maternelle*), istniejące już blizko od wieku, wspiera przed urodzeniem dziecka kobiety opuszczone przez mężów, owdowiałe podczas ciąży, równie jak i te, które już są obarczone dziećmi, a których mężowie z powodu choroby i t. p. nie są zdolni do pracy.

Drugie podobne Towarzystwo matek rodziny (*l'association des mères de famille*) dostarcza bezpłatnej pomocy lekarza i akuszerki, i wsparcia ubogim kobietem rodzącym, równie jak i nowonarodzonemu.

Instytucye dobroczynności publicznej (*assistance publique*) w tym samym kierunku na bardzo obszerną skalę działają.

I tak: *w każdym* szpitalu są zarezerwowane osobne łóżka dla przyjęcia rodzącej w nagłym wypadku; w wypadkach trudnego porodu, rodzące przyjmowane są na salę w szpitalu klinicznym.

Dalej w domu położniczym, gdzie jest szkoła akuszeryjna, znajduje przyjęcie bezpłatne każda kobieta, od roku w Paryżu zamieszkała, będąca w 9-tym miesiącu ciąży lub u której poród już się rozpoczął.

W tym ostatnim wypadku przyjętą jest każda kobieta bez żadnej legitymacyi; ciężarne w zakładzie tym do czasu porodu przebywające zajmują się szyciem, a zarobione tym sposobem pieniądze stanowią grosz zapasowy w chwili opuszczania zakładu.

W domu tym może znaleźć pomieszczenie 232 ciężarnych i rodzących.

Tu nadmieniam, że w warszawskim domu położniczym ciężarne wcale nie są przyjmowane, a dla rodzących jest tylko 12 miejsc etatowych; w domu położniczym paryzkim w razie braku miejsca, zgłaszające się kobiety, kosztem zarządu dobroczynności publicznej pomieszczane są natychmiast jako pensyonarki u akuszerek.

Takie ubogie kobiety—szczególniej niezamężne—które z rozmaitych powodów w służbie czy w innem zajęciu do końca ciąży pozostawać nie mogą, a do domu położniczego przed 9-ciu miesiącami ciąży przyjętemiby nie były, znajdują schronienie bezpłatne w instytucie prywatnym, który nosi nazwę przytułku św. Magdaleny (*l'asile de site Madeleine*) i pomieścić może 24 pensyonarek, które do czasu przeniesienia się do domu położnictwa w rzeczonym przytułku zarabiają sobie trochę grosza szyciem.

Tej samej kategoryi nieszczęśliwe istoty, dalekie jeszcze od rozwiązania, mogą również oddać się w opiekę biur dobroczynności publicznej (w każdej dzielnicy), które je w takim razie pomieszczają w zakładzie (*maison de répresion*) w St. Denis, gdzie pracują zarabiając sobie jakiś fundusik, a ztąd na żądanie własne wyjść mogą, bądź przed, bądź też po rozwiązaniu; organa dobroczynności publicznej ułatwiają również na żądanie każdej ubogiej, ciężarnej odwiezienie jej bezpłatnie do miejsca rodzinnego.

Z powyższego pokazuje się, że w Paryżu każda uboga czy opuszczona, czy hańbą zagrożona kobieta, w najkrytyczniejszej chwili życia znaleźć może łatwo i bezpłatnie schronienie, pomoc a nawet możność zarobkowania w warunkach odpowiednich jej stanowi i położeniu.

Matka, opuszczająca dom położniczy, jeżeli jest ubogą a pragnie sama karmić swe niemowlę, otrzymuje w chwili wyjścia jednorazowe wsparcie, z funduszów dobroczynności publicznej, w ilości 3 do 10 franków, a następnie miesięcznie zasiłek 5, 10 do 15 franków.

Jeżeli matka karmić dziecka swego nie może, ani też łożyć na opłacenie karmicielki, natenczas dobroczynność publiczna płaci pensyę karmicielce przez kilka pierwszych miesięcy, a jeżeli matka da dowody, że chce istotnie pracować, to pensya ta płaconą jest i do 10 miesiąca życia dziecka.

(d. n.)

Opis Ryciny kolorowanej z N-ru I.

Suknia balowa z niebieskiej gazy, połączona z materyą. Przód a tablier w bufki marszczony, ma plisę jedwabną koronką oszytą, przepięcie u dołu w trzy plisy ułożone, z pod którego szeroka koronka spada na dwie falbany spódnicy. Tylny bryt cały suto gazą pokryty, w trzech miejscach jest podpięty szalowemi przepięciami z koronką i kwiatami przybrany. Stanik z materyi, gładki bez zaszewek, z tyłu zapinany, również objęty jest w biodrach szalowem przepięciem, kokardą z boku zakończony.

Opis dwóch Fasonów z bibułki, do N-ru 2 dołączonych.

Nr. 1. Dajemy czytelniczkom formę stanika balowego bez zaszewek, takiego jak poprzednia rycina przedstawia. Składa się z następujących części:

1) część przodu, którego boczne wycięcie zastępuje zaszewkę; 2) druga część przodu z ramieniem; 3) pierwszy boczek; 4) drugi boczek; 5) berta z przodu; 6) mniejsza berta do pleców.

Nr. 2. Tren do sukni przypinany. Forma ta jest bardzo użyteczną, gdyż trudno jest zgrabnie zrobić tren przypinany. Wykrajać trzeba podwójnie, u góry wszyć w paseczek, opatrzyć dziurkami, a guziki w właściwych miejscach na spódnicy przyszyć. Tren powinien być wykrajany w całości, dla tego przedtem trzeba skleić lub zeszyć dwa kawałki formy, pilnując się naciętych zębów.

Zwracamy uwagę szanownych czytelniczek, iż dalszy ciąg Nowelli Litwosa, pojawi się w przyszłym Numerze literackim.

SPROSTOWANIE.

W Numerze 1, w fragmencie dramatycznym M. Konopnickiej zaszła pomyłka, zamiast: ma Mojżesza brodę, powinno być *na Mojżesza brodę*.

OGŁOSZENIA

przyjmują się w cenie 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.

TABLICA MONOGRAMÓW w dużym formacie, w oprawie książkowej, zawierająca wzory do wyszycia haftem i robotą krzyżykową, do nabycia w redakcyi w cenie kop. 60, z przesyłką pocztową kop. 75.

KWIATY.

Bukieta, diademy i pojedyncze sztuki, są do nabycia w pracowni sukien przy lokalu redakcyi. Ceny nizkie.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: dwa Fasony z bibułki i Dodatek powieściowy, Lord Brackenbury, 10.

Дозволено Цензурою. Варшава 2 Января 1881 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**